

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 32.

CHICAGO, 8-go SIERPNIA (AUGUST 8-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



PIERWSZE SPODENKI.

Obrazki z przeszłości.

(Ciąg dalszy).

— Nie wiem, cobym dał — począł Remisz — żebym mógł komturowi elbląskiemu za klasztor i kościół w Sieradzu zapłacić.

Wzdrygnął się cały.

Dobek spojrział na jednego z młodszych Nałęczów i rzekł:

— Idź od namiotu do namiotu, patrz, co robią, napominaj, żeby zbroi nikt zwłóczyć się nie ważył. Koni nie puszczaj siodła nie zdejmować!

— Nuż podpatrzą, żeśmy tak czujni?

— Dziś nie podpatrzą, nie pilno im do szpiuku... A zresztą... Który z was choć trocha szwarcocze, a o Niemca otrzeć się nie boi?

Wstał drugi młodzik, syn Remisza,

— Ano ja!

— To idź do namiotu marszałka i wielkiego komtura, otwórz oczy, patrz, co robią: czy piją do brze? czy pozwłóczyli zbroje? I wracaj.

Sando, nadziawszy hełm, wysunął się.

Starsi siedzieli. Oczekiwanie niecierpliwie dłużyło chwile, czas zdawał się pełznąć na żółwiu. Patrzyli na siebie, to jeden, to drugi powstał, przeszedł się, usiadł, znów się zerwał i wzdychał, To uchylali ściankę namiotu, wpatrywali się w noc ciemną, mgłą gęstą zasnutą.

Dobek obnażył miecz swój, opatrzył go, spróbował ostrza. Inni poszli za jego przykładem.

— W obozie koguty nawet nie zapieją — rzekł Remisz — a w Blewie pono nietylko koguta, ale nawet szczura niema. Jak tu poznać, czy się ranek zbliża?

W tej chwili powrócił Sando, oczy mu jaśniały.

— U marszałka — rzekł — uczują na zabój. Dopiero siedli jeść, a wypili już dosyć. Śpiewają przytem, śmieją się...

— A u innych?

— Wszędzie wesoło...

— Doskonale: im dłużej czuwać będą, tem na dzień lepiej się pośpią.

Wrócił i Sławek, a zaraz ręką pokazał, że wszystko tak, jak trzeba.

— Nikt się nawet nie rozpiął, a wszystkim tak pilno jak i nam, dnia doczekać. Siedza po namiotach i podwozami, jak na czatach, każdy z mieczem w dłoni.

Uśmiechnęli się starsi.

— Jak się wam zda — spytał Remisz — zaszła już północ?

— Kto tam wie! — mruknął Ogon. — Z doświadczenia znam, że dni w życiu nierówne. Gdy człek chce je skrócić, to się wyciągają, a gdy podłużyć — kurczą się,

Do ranka była daleko, rozmowa się nie kleiła. Co który odsłonił namiot, to wnet ściankę zapuszczał. Ciemność trwała nieprzebita, a mgła tak gęstniała, że choć ją nożem krajać.

Klimszowi okrutnie się cknęło. Odezwał się:

— Gdyby nam kto choć bajki powiadał...

— Tobyśmy ich nie słuchali — odparł Dobek. — We mnie wciąż jedno gada, ja to tylko słyszę: odpłać Niemcowi za krzywdy! za krew i łyzy nasze!

— Jaby gotów w kości grać — mruknął Klimsz — żeby tę noc jakoś przebyć.

Ruszyli się wszyscy, ale Remisz zawołał:

— Niech Bóg zachowa, raczejby się modlić. Toż nadchodzi uroczysty dzień!

— Prawda — potaknął Ogon — kości zostawmy na inny czas.

— Wyjrżeli znów — ciemno było i cicho. Cały obóz krzyżacki spał.

Milczenie zaległo w namiocie. Oczekiwanie długie udręczało. Wciąż poglądali na powietrze — nic się nie zmieniało.

Naraz wszyscy nadstawili uszu. Zdała, gdzieś, coś słychać było... Niby stąpania ciężkie w chmurach miękkich, niby jakieś stłumione taczanie się po ziemi.

Słuch ich nie mylił: w głębi tych ciemności posuwało się coś powoli, ostrożnie, daleko... Ruch ten ustawał, milknął, ginął i wznawiał się...

— Sławek! Sando! Po namiotach! — szepnęła Dobek. — Już coś słychać...

Sławek i Sando wybiegli.

W odsłoniętym otworze namiotu chyliły się wciąż głowy nasłuchujące, Owo tętnienie głuche wznawiało się, lecz brzasku ani świtania na niebie widać nie było. Noc nie miała końca.

Dopiero po dobrej chwili zadniało, lecz czarne ciemności zmieniły się na białe. Wtej szarej oponie oko tak samo dojrzeć nic nie mogło, jak nie widziało w czarnej. Dzień nadchodził nie wiedzieć skąd, mgła zdawała się wciąż gęstnieć, chłód przejmował do kości, wilgoć oblewała wszystko, świat zdawał się jakby w wodzie zanurzony.

W obozie polskim wszystko zdawało się spać, lecz w rzeczy samej nikt oka nie zmrużył nawet na chwilę. Niemcy za to, którzy ucztowali długo, spali twardo. Nawet strażę ich, poowijawszy się w płaszcze, spały snem kamiennym.

Przed namiotem marszałka, wielka chorągiew zakonu wisiała bezwładnie, obmokła, jakby stężała. Znikł z niej ten krzyż, którym uragała światu. Pokrajana w pasy czarne i białe, wydawała się proporcem żałobnym, zawieszonym nad grobem.

A w dali wciąż słychać coś było, jakby morze nagle zbudzone, z pomrukiem groźnym, szło zalewać ziemię.

Spali Niemcy, oprócz marszałka Teodoryka, który już przed obrazem Najświętszej Panny się modlił. Obaj kompanowie stali u wnijsia namiotu. Wreszcie wstał z klęcznika i narzuciwszy płaszcz na ramiona, szedł ku wyjściu. Naraz ucho jego pochwyliło ten szum, toczenie się jakiegoś głucho. . . Stał się, wyprostował się, pobladł. . . Odchylił ściankę namiotu, słuchał oczy słupem mu stanęły.

W obozie o krok widać nic nie było, a strażę najbliższe chrapały, Brwi marszałka ściągnęły się gniewnie.

W tej chwili tętent powolny zaczął go dochodzić tak wyraźnie, że krzyknął do stojącego obok kompana:

— Na Boga! pobudka. . . Dzień, a tu śpi wszystko, a tu. . . Pobudka! Pobudkę uderzyć!

Głos jego stłumiło ciężkie powietrze, lecz kompani już biegli do straż.

Zwolna wysuwały się już w pełnych zbrojach postacie blade, włócznie w ziemi utkwione powoli ściągając, konie opatrując i nie śpiesząc się do wystąpienia. Tu wszystko zdawało się być w lepszym porządku niż zwykle i w gotowości. Spoglądano ku namiotom wojewody, który się nie ukazywał.

Dobek, z chustą białą na hełmie zawiązaną, które sobie, dla znaku pewnie, poczepiali i inni Nałęczę, snuł się bliżej niemieckiego stanowiska, widokiem nieładu, jaki tu panował, się ciesząc.

Szczęściem dla Szamotulskiego, czy zapomniano o nim, czy tak na niego mało rachowano, czy też nie miano czasu troszczyć się o Polaków, nikt do ich obozu nie zaglądał. Łańcuch, którym się opasywali z pośpiechem Niemcy, nie objął ich stanowiska, a więc po za jego obrębem zostali.

Nieprzyjaciel, dotychczas ledwie surmami z dał się oznajmujący, w chwili, gdy połowa Krzyżaków nie była do boju gotowa, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedno miejsca tłumnie się cisnąc, a drugie zostawując bez obrony, nagle wystąpił z za osłon kryjącej go mgły i wszędzie wielkim lasem włóczni uderzył na rycerzy, stojących u łańcucha. Krzyżacy wytrzymali to pierwsze uderzenie, odpierając je ciężkimi włóczniami swojemi; kilku jezdnych obaliło się z końmi, z jednej i drugiej strony, rozpoczęła się walka wściekła.

Marszałek Teodoryk widział już, że zewsząd był otoczony i że siłom tym, których policzyć nie mógł, oprzeć się nie potrafi. Z trwogą pomyślał, czy goniec, wysłany po chełmińskich rycerzy, wymknąć się zdołał, czy komtur mu odsiecz przyprowadzi. . . W tem nadzieję całą pokładał.

Teraz dopiero, gdy miecze o zbroje szczekać zaczęły i gdy bój przy łańcuchu trwał zajadły, wzrok jego zwrócił się w stronę orszaku wojewody. Przypomniał sobie z radością lekceważonych sprzymierzeńców, mniemał bowiem, że Wincz, pragnąc oca-

lić głowę swoją, bić się będzie rozpaczliwie. Kilkadziesiąt kroków dzieliło go od tych namiotów, pobięł ku nim. Łańcuch je od Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł już opróżnione obozowisko, powywracane szałas, poobalane wozy, a w dali wojewodę na koniu, ludzi w szeregach, jak gdyby tylko znaku oczekujących. Zdumiało go to, że zamiast twarzami być zwróceni ku nieprzyjacielowi, stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś, gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza, z białą chustą w rękę, który wojewodzie wskazał obóz krzyżacki. Zatętniała ziemia i z okrzykiem radości, szła niemal, oddział wojewody puścił się z tej strony, która wolną jeszcze była od napaści, na obóz Krzyżaków.

Teodoryk stał przez chwilę zdętwiały, patrząc na tę nową klęskę, następnie puścił się ku wielkiemu namiotowi. Naprzeciw niego toczył się bój, o jakim dzisiejsze walki wyobrażenia dać nie mogą. Dwie sciany żelazne naciskały jedna na drugą, łańcuch był dawno rozerwany. Polacy szli w szyku ściśniętym, opasując broniących się z męstwem wiekiem Krzyżaków. Kruszyły się włócznie o zbroje, parali rycerze na ziemię, a który z nich runął z konia, już o swej sile podnieść się nie mógł, więc traktowano go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OBRAZ NA KSIĘŻYCU

według podania ludowego.

Ni dni byś nie zliczył, ni nie zmierzył wody,
Ktorą na skraj świata gdzieś uniosły rzeki
Od czasu jak braciom dwom chata, ogrody
Przypadły — gdy ojciec ich usnął na wieki,

Czas jakiś szło dobrze: w miłości i w zgodzie
Żyli w jednej chacie synowie zmarłego —
Lecz szatan, co chuci złe budzi w narodzie
I tu znalazł przystęp do serca bratniego.

I wzniecił zawiści płomień w starszym bracie
I chciwość wlał w serce; i wzbudził mniemanie:
„Że mało jest miejsca dla dwóch w jednej chacie
Że wszystko swem nazwie, gdy brata nie stanie“.

Usłuchał człek słaby podszeptów szatana
I przeszył wśród sprzeczki pierś brata widłami!
Lecz Pan go ukarał — bo ziemia krwią zlaną
Połknęła mordercę wraz z brata zwłokami.

A Pan Bóg chcąc żeby to straszne zdarzenie
Na zawsze zostało ludziom przed oczyma,
Na bladym księżycu nakreślił dwa cienie
Jak brata na widłach, brat wyrodny trzyma!

Szczęśny Zahajkiewicz.

Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Słarka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

AKT III!

Przedśionek łaźienek w Babilonii.

SCENA Isza.

ASSER I NIEWOLNIK.

ASSER: (Wchodzi niespokojny) Niewolniku, poszukaj mi natychmiast Mamuki, potrzebuję go i to w tej chwili.

NIEWOLNIK: O Mamukę pyta? co tylko tędy przechodził.

ASSER: Jużem zmęczony tem ustawicznym łażeniem, to prawdziwy labirynt; kogo tylko spotkam, każdy mi mówi, że co tylko Mamuka tędy przechodził — idź więc poszukaj go natychmiast, ja tu będę czekał.

ciebie, a jednak ci się poddaję! Ach, bodajem cię był nigdy nie poznał!...

SCENA 2ga.

ZECHUR, ASFENES I ASSER!.

ZECHUR: (cicho do Asfenesa) Widzisz go!

ASFENES: (cicho) Rozmyśla nasz przyjaciel nad swoim stanem.

ZECHUR: (n. s.) Paskudne położenie! stracił wszystko...

ASFENES: (n. s. śmiejąc się) Doprawdy, wyciśnięty jak cytryna...

ZECHUR:)n. s.(Aż zzieleniał ze złości...

ASFENES: (n. s.) A tak mu głód dokucza...

ASSER:(Spostrzegłszy ich) Zechur, Asfenes, wy tu?...

ZECHUR: Czego chcesz?

ASSER: Czy nie widzieliście Mamuki?

ASFENES: I tak, ale wczoraj wieczorem...

ASSER: Przecież nie dawno tu był podobno w łaźni...



Z AFRYKI. — OBLAWA NA LWA.

NIEWOLNIK: Zapewne paniczowi nie dopisało szczęście w grze?

ASSER: rozgniewany: Nie wspominajmij o żadnej grze, bałwanie jakiś! bo kijem możesz dostać; idź, szukaj Mamuki, a zapłacę ci sownie.

NIEWOLNIK: Dla pewnych skąpców nie ruszyłbym się ani krokiem, ale dla tak szczodrego, jak panicz, kazałbym się okładać chociażby dzień się razy dziennie. (Do siebie: tego coś porządnie trapi. — Odchodzi.

ASSER: wielce przygnębiony siada na krześle: Chojny rozrzutnik!... tak, marnotrawca, szalony rozrzutnik, desperat!... kto mię wyrwie z tego zakłętego miejsca?... a gdy Mamuka nie zechce?... Jestem zgubiony, nie ma dla mnie nadziei ocalenia! Ach, Mamuko! ktoś ty jest?... im więcej staram cię się poznać, tem więcej tajemniczym mi jesteś. Chciałbym uciec od ciebie, ale jakaś siła nadzwyczajna ciągnie mię do ciebie, szczodrym jesteś i umiesz schlebiać, nienawidzę cię i wstręt czuję do

ASFENES: Mylisz się przyjacielu, Mamuka tej nocy wyjechał z Babilonii...

ASSER: Wyjechał?...

ASFENES: Do Ktezyfonta.

ASSER: O ja nieszczęśliwy, tegom się nigdy nie spożliewał. Więc wyjechał? czy pewni jesteście?

ASFENES: Sam widziałem jak wyjeżdżał konno przez bramę Aleksandryjską.

ASSER: Czyż to możebne? W takim razie jestem zgubiony!!

ZECHUR: Zgubiony? dlaczego? Czyż Mamuka jest ci potrzebny do szczęścia?

ASSER: Ależ bynajmniej, dla mnie byłoby najlepiej, gdybym był wcale nie znał Mamuki... ołecnie jednak mi koniecznie potrzebny, mamy bowiem względem siebie pewne zobowiązania.

ASFENES: Ale co tam się będziesz kłopał synalku Eleazara, przecież masz przyjaciół bez liku... masz ich setki...

ASSER: Przyjaciele, tak! bodajem ich był nigdy

nie poznał, Zdraycy to są raczej, ale nie przyjaciele. Kiedym przybył z Lidyi obścapił mię wszyscy, a widząc, że jestem szczery, nagromadziło ich się koło mnie, jak kruków... Teraz jedni mi urągają, drudzy ścigają, a inni wreszcie okradają i wyśmiewają...

ZECHUR: Tak to bywa zawsze, nieszczęsny Żydzie. Prawdziwy jednak przyjaciel nie opuszcza przyjaciela, kiedy ten znajduje się w przykrym stanie... ten zaś który ci schlebiał, kiedyś miał pełne kieszenie, ucieka od ciebie jak od zapowietrzonego, boś ogołocoony.

ASFENES: Zapewne, gorszy jest ten, co schlebie, niż otwarty nieprzyjaciel...

ZECHUR: Bez wątpienia, nieprzyjaciel prawdziwy uderza otwarcie... pochlebca zniecka podchodzi i bije...

ASFENES: Lepiej jest mieć mało przyjaciół, ale wypróbowanych, a nikomu nie ufać...

ZECHUR: W przeciwnym bowiem razie ucierpi na tem kieszeń... i sława przepadnie.

ASSER: Wyborne rady — przyjaciele — ale niestety zapóźno; trzeba było w tenczas mi ich udzielać, kiedyście zemną ucztowali i schlebiali na każdym kroku. Teraz nie wiem co czynić, ale jeśliście szczerymi przyjaciółmi, okażcie czynem, a nie żartobliwemi radami...

ZECHUR: Pojmujemy dobrze położenie; prowadziłeś życie chulaszcze... i przeputałeś swoje i nasze pieniądze, a teraz chciałyś...

ASSER: Wasze pieniądze?... To mi jeszcze obelgę wyrządzaście za moją szczerość względem was?!

ASFENES: Ależ uspokój się, o co tobie właściwie chodzi?... Co twoje to nasze, a co nasze to twoje... czegoż więcej ci potrzeba?

ZECHUR: Mów przyjacielu...

ASSER: Potrzebuje... chociaż obecnie mógłbym się bez tego obejść, gdyż w tych dniach otrzymam pieniądze, ale na teraz prosiłbym was przynajmniej o 50 syklów.

ASFENES: 50 syklów?... a o po co?

ASSER: Mam przecucie, że tym razem szczęście mi sposłuży, dotychczas zgrałem się strasznie — ale obecnie jestem pewny wygranej...

ASFENES: Owszem, życzę ci z całego serca; i mnie się zdaje, że szczęście mi się uśmiecha, jak ci się zdaje Zechur, co?...

ZECHUR: Tobie przecież fortuna zawsze sprzyja.

ASFENES: To chodźmy, co...

ZECHUR: Ale nie z nim, bo on goły.

ASFENES: Do widzenia Asserze.

ZECHUR: A bądź roztropnym!

ASFENES: I strzeż się przyjaciół! (odchodzi.)

ZECHUR: Pomyślności! (odchodzi.)

ASSER: Przeklęte psy! nawet 50 syklów nie chcą mi użyczyć! Lotry! samą setkami odemnie ciągnęli, a teraz mi mówią o roztropności i oszczędności!... ach zapóźno się poznałem na tych pijawkach szatańskich! I Mamuka wyjechał z Babilonii, czyż to podobno?... Do kogo mam się teraz udać? Przyjaciele mię opuścili, wierzyciele mię ścigają! ach, jestem zgubiony! jestem zgubiony! (sposstrzega Mamukę) Mamuko, Tyś tutaj! więc ty nie wyjechałeś do Ktezyfonta?...

SCENA 3cia.

MAMUKA I ASSER!

MAMUKA: (patrzac nań z ukosa) Co tobie jest, cożes nie swój?

ASSER: Niestety... jestem zrujnowany zupełnie.

MAMUKA: (n, s.) Z tegom rad.

ASSER: W tobie pokładam całą nadzieję...

MAMUKA: Możesz się grubo pomyślić.

ASSER: Przez litość, nie odpychaj mię, ty jeden mi tylko zostajesz!

MAMUKA: Ja ciebie mam ratować, a przed kim?

ASSER: Od hańby, która mię czeka, od przepaści, nad którą stoję.

MAMUKA: To tylko wzdychania, właściwe głupim rozrzutnikom; tyś mi się już sprzykrzył.

ASSER:Przynajmniej jeszcze teraz wspomóż mię, bo inaczej jestem zgubiony; daj mi jeszcze 10 min, a ja ci je oddam z procentem, ręczę za to.

MAMUKA: Zaręczasz, lecz na co mogę liczyć, kiedy ty już nic nie posiadasz? czy może na ten pałac, któryś przegrał w dwóch rzutach w kostki?

ASSER: Jak to? to ty już o tem wiesz?

MAMUKA: Wiem dobrze, żeś wszystko stracił, a co ci jeszcze zostało, to zabrali twoi mili przyjaciele.

ASSER: Niestety!

MAMUKA: Nie posiadasz już ani obola, wiem o tem doskonale; udawałeś się do różnych twoich współtowarzyszy, ale żaden z nich nie chciał ratować zdesperowanego bankruta: nikt więc nie ma litości nad synalkiem Eleazara, nawet ci wzgardzili tobą, z którymi przechulałeś wszystko. Upadłeś nisko hebrejczyku, i jak żebrak prosisz o jałmużnę.

ASSER: Wszystko to prawda... niestety!

MAMUKA: Pozbawiony jesteś klejnotów i kosztowności; nie masz domu, nie masz pieniędzy; ścigany przez wierzycieli w ostatniej biedzie, stałeś nawet suknię, którą nosisz. Szczęście jednak i tym razem cię zawiodło; ta suknia nie należy już do ciebie, jutro przyjdzie wierzyciel i zabierze ją. Co teraz poczniesz? Zostaniesz goły na bruku babilońskim i zaprzedasz się pierwszemu lepszemu kupcowi, którego spotkasz... ty! któryś wyjechał z Lidyi z 14ma talentami w złocie!... jakby ci się teraz przydały!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Święci Patronowie i Patronki.

ŚW. WOJCIECH B. I M.

Podczas drugiej bytności w Rzymie, Wojciech był sprawcą kilku innych zdarzeń nadzwyczajnych. Więc raz niosąc w maczynie glinianem do posługi braterskiej wino, potknął się i upadł. Styszeli wszyscy, że naczynie się zgnuchotało, tymczasem okazało się nienaruszonemu. To znowu dzieweczkę, chorującą na oczy, kładzeniem rąk uzdrowił. To znowu człowieka pewnego, który nic jeść nie mógł, wszelkie pokarmy ze wstrętem odrzucał, uleczył tym sposobem, że chleb mu pobłogosławiony podał. Chory chleb zjadł, odrazy do jada się pozbyt i z choroby wyszedł. Kleryk jego, Asteryzyusz, o coś się rozdaśawszy, chciał go opuścić, ale w drodze tak błądził, że ostatecznie do Wojciecha wrócić musiał.

Jak zawsze, i teraz w Rzymie ostatkiem z nędzarzami się dzielił. Raz spotkał na drodze wdowę, która odzieży od niego zażądała.

— Jutro przyjdź do klasztoru, a dostaniesz! — rzekł Wojciech.

Lecz zaraz się rośmyślił:

— Kto wie, czy mi Bóg jutra doczekać pozwoli? Nuz umrę, wówczas dobrego uczynku nie spełnię.

Zaraz też zdjął z siebie suknię i żebracze dał.

Pono w rzymskim klasztorze bawiając powtórnie, pisał Wojciech rzeczy pobożne. U żywociarzy jego znachodzimy wzmiankę, że wtedy napisał kazanie budujące, wyjaśniające znaczenie słów Ewangelii: „Otośmy porzucili wszystko“.

— Ojciec Floryan Jaroszewicz wspomina jeszcze o jednym zdarzeniu nadzwyczajnym, z czasów wtórego pobytu Wojciecha w Rzymie: Pewnego razu — tak pisze — Ojciec Ś-ty rozkazał Wojciechowi, aby w jego obecności odprawił Mszę Ś-tą w szatach biskupich. Odprawił tedy Wojciech Ofiarę Przczystą, a gdy przyszedł do modlitwy za umarłych, tak długo ją odmawiał, że wszystkich to zdziwiło. Ojciec Ś-ty kazał go upomnieć pociągnięciem za ornat. Wojciech, jakby się ocknął i spostrzegł wtedy, że na jednej ręce nie ma hierotyki, to jest rękawicy biskupiej. Więc kazał sobie podać inną. Gdy Mszę skończył, Papież rzekł do niego:

— Dobry Ojciec, czemu ty drzemiesz przy Mszy Ś-tej?

Na to Wojciech:

— Nie trafia mi się to, al coś dziwnego Pan Bóg ze mną uczynił. Albowiem bracia moi rodzeni, którzy wczoraj od pogan zabici są, bez pogrzebu leżeli; więc mi kazano, żeby ich ciała według chrześcijańskiego obrzędu pochował i uczyniłem to w Czechach, w Libicy. Ale żeście mnie nagle, ciągnąc za ornat, zmieszali, nie przyszło mi wziąć na ręce

obu rękawic. Jedna tam została na ołtarzu Najświętszej Panny.

Usłyszawszy to, zdumiony Papież śpieszno posłał do Czech, aby sprawdzić: czy istotnie poganie zabili braci Wojciecha, a jeśli tak, to którego dnia to się stało. Jakoż dowiedział się, że tego samego dnia, w którym Wojciech Mszę w jego obecności odprawił, zostali zabici; że Wojciech wtedy ich grzebał i nabożeństwo żałobne w kościele libickim odprawił, na to mnóstwo patrzyło ludzi. Znaleźli też wysłańcy Papieża, na ołtarzu Najświętszej Panny, rękawicę biskupią, a gdy ją przywieźli i okazali, Papież przekonał się, iż tej właśnie Wojciechowi brakowało. Cud ten wywarł w Rzymie wielkie wrażenie.

Niedługo pozwolono Wojciechowi napawać się błogością klasztornego życia. Gdy cesarz Otto III udał się do Rzymu na koronację, arcybiskup Moguncvi, za jego pośrednictwem, zażądał od Papieża, aby Wojciechowi znów wrócić do Pragi na biskupstwo polecił. Spełnił to żądanie Papież, nie pomogły wymówki. Wojciech usłuchać rozkazu Namiestnika Chrystusowego musiał. Wyjechał z Rzymu razem z cesarzem Ottonem, odwiedził z nim Francję i tamtejsze miejsca święte, wszędzie błogosławionych Mężów, niebieskiej szczęśliwości zażywających, błagając o przyczynienie się do Boga za sobą, iżby go w pasterskich obowiązkach umacniał. Cesarz Otto tak go polubił, iż sypiać mu w jednej komnacie ze sobą kazał.

Przybliżając się do Czech, nie chciał Wojciech prosto na swoje biskupstwo jechać, ale zбочzył do Polski, do tamtejszego monarchy, Bolesława Chrobrego, który go już dawniej znał i wielce miłował. Bolesław używał tytułu królewskiego, ale jeszcze zatwierdzonym w godności królewskiej przez Papieża a uznanym za króla przez cesarza nie był. — więc sąsiednie państwa tytułowały go tylko księciem.

Chrobry przyjął Wojciecha serdecznie, czią wielką, przynależną mężowi Bożemu, a Wojciech posłał z Polski do prażan z zapytaniem: zali go za biskupa i pasterza swego znać chcą i czy poprawę życia obiecują? W Czechach panowały wtedy krwawe zamieszki, których ofiarą padło czterech braci Wojciecha. Prażanie tedy, obawiając się, żeby Wojciech zabójstwa braci swoich nie mścił, nie myśląc oraz o porzuceniu zdrożności swoich, odpowiedzieli:

— Masz się u nas nie pokazywać. Tego żadną miarą za biskupa i pasterza nie przyjmiam, który już dwakroć od nas bieżał.

Rad był Wojciech, iż prażanie sami mu ciężkie brzemie zdjęli zbarków, zawiadomił o tem niezwłocznie arcybiskupa moguncckiego i Papieża. Bolesław zaś prosił, aby mu Wojciecha na arcybiskupa do Gniezna przeznaczył, gdyż wtedy ta stolica, po pier-

wszym arcybiskupie Robercie, osieroconą była. Wojciech, osiadłszy w Gnieźnie, jako pasterz najwyższy wszystkiej Polski, niedawno nawróconych do chrześcijaństwa Polaków w wierze świętej umocnił. Wtedy to, ku pokrzepieniu serc, pieśń „Bogarodzica Dziewica“ ułożył i onej naród polski nauczył.

Dowiedziawszy się, że sąsiedni Prusowie byli jeszcze poganami, postanowił wśród nich światło zbawienia zapalić, uprosił tedy Bolesława, aby go do Prus wodą na apostołstwo wyprawił. Żal było Bolesławowi z ziemi swojej tak wielki skarb wypuszczać, ale ponieważ tu szło o dzieło zbawienia, więc uczynił zadość żądaniu Wojciecha, wyprawił go do Prusów wodą, na dobrze opatrzonych sztukach. Towarzyszyli Wojciechowi dwaj kapłani, Gaudencyusz i inny jeszcze, a wszyscy trzej przygotowani byli na śmierć męczeńską.

Wysiadł Wojciech z towarzyszami w krainie Prusów na jakiejś tam wyspie, tam przedewszystkiem upadli na kolana, błagając Boga o pomyślny zamierzonego apostołstwa skutek. Spozbręgli ich Prusowie, z podziwieniem patrzyli na onych mężów w szaty mnisze, im nieznane, przybranych, odprawujących nieznane dla nich praktyki. Postanowili ich schwytać. Zbliżyli się do zatopionych w modlitwie ukradkiem i jeden z nich Wojciecha z całej siły wiosłem z tyłu, pomiędzy łopatki, uderzył. Upadł mąż Boży na ziemię, Prusowie zaś wołać zaczęli groźnie:

— Uchodźcie stąd, jeśli nie chcecie, żebyśmy was pozabijali!

Wojciech zaś, chociaż ból wieki cierpiał, dziękował Bogu w sercu swem:

— Gdybym nawet więcej w krainie tej nie zyskał, nawet na tym jednym upominku, na tej ranie i cierpieniu, dla Pana mego, Jezusa Ukrzyżowanego, poprzestane.

Mimo gróźb Prusów, Wojciech krainy ich opuszczać nie myślał. powędrował z towarzyszami w głąb onej, szukając dla Chrystusa wyznawców. I oto znalazł się w mieście jakimś, a właśnie odbywał się tam zjazd wielki ludzi, do przekupna. Obstawili mężów apostołskich ludzie owi, dopytywać zaczęli:

— Coście za jedni? Skąd i dokąd idziecie? Z czym?

— Z Polski idziem — odparł Wojciech — nie siemy wam zbawienie. Słudzimy Boga Wszchemocnego, który stworzył niebo i ziemię, i wszystko, co jest na nich. Poznajcież Tego Boga Prawdziwego, awybawicie dusze wasze z mocy piekielnej i czartowskiej. Uwierzcie w Jezusa, który świat odkupił, a chrczycie się na grzechów waszych odpuszczenie!

Starał się mąż Boży wiarę prawdziwą w u-

mysły ciemne, pogaństwem zakazone szczepić, ale Prusowie się śmiali, słuchać nie chcieli, wciąż powtarzając:

— Precz idźcie z naszej krainy! Nic tu po was!

Wzgardzeni, opuścili miasto, szli przez lasy i pola, nigdzie u ludzi nie znajdując schroniska. Mówił Ś-ty Wojciech:

— Pono ubiór nasz mniszy ich odstręcza. Weźmijmy przeto szaty inne, zapuścimy brody, Tymczasem idźmy na Litwę. Może z powrotem lepiej nam się tu poszczęści. Albo przyjmijmy u którego z Prusów suzbę. Zostawając, albo chociaż poniekąd dzieło święte spełnim, albo męczeńską osiągniem koronę.

Szli polami i lasami ku Litwie, żywiąc się mierznie nader, sypiając pod gołem niebem.

Rana pewnego Wojciech Mszę Ś-tą odprawiał w gaju jakimś. Był to gaj, uważany przez Prusów za święty, niedaleko miasta Romowe. Tam ich napadli poganie, przez kapłana swego podjudzeni i tam umęczyli. Siedmioma włóczniami przeszyli Wojciecha, mieczami go rąbali, w końcu — na drzewie obwieśli. Stało się to r. 997. Dwaj towarzysze Wojciecha również zostali zamordowani.

Gdy się dowiedział Bolesław Chrobry o losie mężów apostołskich, do księcia pomorskiego Miłosza, w którego krainie Wojciech i towarzysze jego męczeństwa się doczekali, niezwłocznie wyprawił rycerza swego znacznego, Borzywoja, po ciało Wojciecha. Prusowie, widząc, iż monarcha polski z taką pilnością o zwłoki męczennika się stara, jęli się przechwalać:

— Bogaśmy polskiego zabili...

Miłosz zaś Borzywojowi rzekł:

— Nie damy ciała, dopóki nie otrzymamy tyle srebra, ile ono zaważy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BAJECZKI DLA POLSKIEJ DZIATWY.

SARENKI:

W lasku na kwiecistej łące
Bawi się sarenek sześć,
Zpasły ziółka woniejące,
Więc już niechce im się jeść.

Gdy wesoło tak igrają
Nagle z gąszczów pada strzał!
Hejda!... Sarny precz zmykają,
Jakby wiatr je z łączki zwiął.

Poszedł strzelec rozgniewany,
Nie ma co do domu nieść.
— A za chwilę wśród polany
Znów się bawi saren sześć.

K. Wachtel.

MACIERZ POLSKA

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyj: **MACIERZ POLSKA,****51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**Prenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,****141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.****MACIERZ POLSKA****AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE**

issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,****51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 8 cents

Address of Business Office

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA**141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS****JACUŚ.**

Sylwetka przez Adolfa Wiesiołowskiego.

Srodkiem jednej z ulic przedmieścia, ciągnął za sobą dwunastoletni Jacuś wózek, wołając z całego gardła: „pia. .syk! pia. .syk!”

Zgjęty we troje posuwał się zwolna. Nogę za nogą stawiał z wielkim wysiłkiem, bo gdy jedną opierał całą siłą o ziemię, aby powlec swój ciężar, to drugą — wyciągał z bezdennego błota. Te to dwa miarowe nieustanne poruszenia pchały naprzód wózek i piaskarza.

Wicher marcowy dał niemiłosiernie prosto w twarz Jacusia. Krzywił się też Jacuś od szasu do czasu, policzki mu zaczerwieniały, lecz z przyzwyczajenia czy dla skrócenia sobie drogi, wołał coraz donośniej: „pia. .syk, pia. .syk!”

Przechodnie szybko mijali piaskarza a choć mrozu nie było, ten zacierał posiniąte dłonie, ów chuchał w paznogie a inny — przystanąwszy chwilo-wo, wymachiwał rękami, póki nie uczuł krwi ciepłej w swoich żyłach.

Świątek drobnych, tupał małemi nóżkami, lub w wesołej gonitwie do szkoły, wyprzedzał się nawzajem, aby w śmiechu i krzyku zapomnieć o mroźnym powietrzu.

Kucharki tylko nie spieszyły się zbytecznie. Zamiłowanie swobody i chęć zysku przy codziennych zakupach, czyni im ranne wyjście jednym z najprzyjemniejszych zajęć ich życia. Nie lękają się one ani błota, ani mrozu, ani zawiei.

Mały Jacuś z bolem serca patrzył na każdego przechodnia. Byli bowiem lepiej odziani i mogli spieszyć się do woli.

Wytarta, nieokreślonej barwy czapka, zdaje się sukienna, bez daszka, pokrywała nieuczesałą głowę Jacusia. Co do ubrania dosyć długiego z dłuższymi jeszcze rękawami, najskrupulatniejszy kra- wiec nie zdołałby orzec, czem ono właściwie było?

Przednie poły przechylające się pod ciężarem wózka, zgartywały błoto bez zwrócenia jakiegokol- wiek uwagi właściciela tego dziwnego okrycia — podartego, poplamionego, okrytego wreszcie łatami rozmaitych odcieni, różnej grubości i jakości — jak- kie zwykle pstro odbijają pośród szarego tła śmiet- ników podwórzowych.

Gruba linka przerzucona przez plecy Jacusia— fałdowała na nim strój fantastycznie, lecz za to dzięki jej guziki podpadały co do jednego Wicher więc igrał połami naprzemian, to jedną, to drugą i odślaniał suchą, wklęsłą pierś dziecka, aby wyjść tysiącem otworów rozchodzącego się w wszyst- kich szwach ubrania.

Bose nóżeta zakrywało coś jeszcze bardziej dwuznacznego jak górne ubranie, bo z przodu rzekłbyś przepaska z worka, fartuch, ale spięty tak sztucznie, iż zdawa widniały szczupłe posinałe nogi chłopięcia w całej okazałości swej nędzy.

Jacuś z swoim wózkiem miał dużo szczęścia. U każdego innego wózek taki rozsypałby się od dawna — jednak nieletni właściciel umiał tak zrę- cznie, dowcipnie, wzmacniać go sznurkami, gwoź- dziami albo lada blaszką, iż choć w ruchu, skrzypiał i chwiał się na wszystkie boki, przecież włókł się dalej.

Było na nim z dziesięć długich a wązkich, umie- jętnie złożonych woreczków zarówno przydatnego kucharkom do stołów i naczyń, stróżom do posy- pywania śliskich chodników a choćby i zatabaczo- nym kancelistom dla ich pisaniny.

Jacuś powtarzany, cieszył się wielkiem powo- dzeniem. Zwoził piasek na stałe miejsca i tylko pa- rę worków sprzedawał nadzwyczajnym odbiorcom po drodze — przypominając się wołaniem: „Piaa- syk! piaasyk!”

Do właściwości Jacusia należało jeszcze dostar- czać piasku w umówione miejsca w woreczkach o- sobnych. Piasek ów wygrzebywał Jacuś w połud- niowych godzinach — nazajutrz rano rozwoził go po mieście.

Otóż — woreczek z czerwonego a już bardzo przetartego sukna przepełniony bieluchnym pia- skiem dostawał się pulchnej wdowie, właścicielce garkuchni „pod Sroczką“. Takież woreczek w czar- no żółte pasy odbierał woźny urzędu podatkowego „dochodów niestałych“. Podobny, lecz uszyty nie- gdyś z białego płótna, otrzymywał stale braciszek

od Dominikanów, który bezskutecznie droczył się z Jacusiem, aby mu odstąpił piasek z niebieskiego woreczka przeznaczonego jedynie do kawiarni.

Wspomniana dopiero kawiarnia cieszyła się nad zwyczajnymi względami naszego przedsiębiorcy „od piasku.“ Woreczek tu przeznaczony — niebieski, był największy. Na jego wierzchu widniały zawsze wetknięte zielone choć suche świerków koniuszki, żółte jaskry, bławatki, mak polny, niezapominajki, stósownie do pory roku.

Ten piasek dostawał się do rąk czerownej, jak burak gospodyni z pod czerwonej latarni, a barwne dodatki — jej ośmioletniej Maniusi.

Manusia za kwiatki wciskała Jacusowi ukradkiem do ręki zabrany kawałek cukru, lub pół niedojedzonego rogala.

Niechaj każdy sądzi, jak chce. Nie przekonam tych, którzy w serce nie wierzą i dążą do zatarcia w sobie każdego żywszego uczucia; nie przekonam również i tych, co pierwszych odbłyśków miłosego uczucia szukają w dopełnieniu form, ale może zgodzą się ci — którzy kiedykolwiek i cokolwiek kocha i, których żywo przejmują iza bólu cudzego, lub cudzej radości.

Porządku w rozdzielaniu piasku, o którym wyżej mówiliśmy, trzymał się Jacus z dziwnym uporem, a gdy kto ze zdziwieniem, lub zgorzeniem pytał się, dla czego jeden worek był największym, niebieskim i miał kwiaty w dodaku — to Jacus odpowiadał węzłowato odwróciwszy głowę: „oho — ja tam wiem, co robię!“

Było mu z tem dobrze i kto wie, czyby nie o-



NOWA SIOSTRZYCZKA.

Manusia pierwsza zapowiadała zdala wesołym, szczerym uśmiechem zbliżającego się Jacusia, skakała w koło niego radośnie, pomagała mu wynosić piasek bijąc swojemi rączkami w zwieszony woreczek na plecach Jacusia, a wreszcie przy pożegnaniu ze zwykłą sobie zręcznością — obdarowywała hojnie, czem mogła, rozradowanego chłopca,

Jacus również witał ją przytłumionym oddechem, ścisnął jej drobne rączki, tulił je do białych i zimnych ust swoich, a odchodząc, raz i drugi i trzeci oglądał się za stojącą zdala Manusią, posyłał jej nawet ostatnie pożegnanie — smutnem skinieniem głowy.

Były to pierwsze poruszenia serduszek tego drobnego światka?

puścił nawet OO. Dominikanów, gdyby mu pręmością odebrać chcieli niebieskawy worek z pod czerwonej latarni.

Zwyczajnie Jacus przynosił starszej już matce około czterdziestu centów co drugi dzień, za sprzedany piasek.

Z pewną dumą — pomimo ostrego powietrza i rozmokłej drogi, posuwał się Jacus naprzód, a za nim jego wózek.

Naraz — zatrzymał się wśród drogi.

Uśmiech szydery, niedowierzający, przebiegł mu po twarzy. Zderzył się oko w oko z swoim rówieśnikiem, który wracał z podobnym już próżnym wózkiem. Jacus zdumiał z podziwienia, on dopiero co jechał z piaskiem a ten już powracał! Nadto, do-

bry jego znajomy miał w ustach papierosa dopiero co zapalonego! Widocznie miał za co kupić papierosa! Jacuś zbierał znalezione na ulicach niedopałki i tym tylko raczył się z prawdziwą rozkoszą.

Błękitnawy dymek puszczoney umyślnie w twarz Jaćusiowi, obudził w nim pragnienie tem silniejsze, oczy zaświeciły mu żywo a policzki oblały się skarłatem. Roztworzył usta, wychylił dwa rzędy nierównych i niezbyt białych, spiczastych zębów — poczem wciągając począł długo i chciwie resztki rozrzedzonego dymku.

— Karol — dajno raz, prosił Jacuś, swojego „kolegę“.

— Aha... zaraz! — odburnął pyzaty Karolek, puszczając powtórnie Jaciusowi w twarz kłęby dymu niezbyt aromatycznego.

— Raz ino się zaciągnę! znowu prosił Jacuś.

— Łap rękami! — otrzymał Jacuś w odpowiedzi.

Karolek jakby naumyślnie spalał prędko papierosa, buchając dymem na Jacusia — wreszcie zaczął przebierać palcami, bo dopalający się papieros piekł go już nie na żarty.

— Karol... dla mnie raz — błagał znowu Jacuś żałośnie. Karol zaśmiał się tryumfująco, i na dalsze inne prośby swojego kolegi — odpowiedział pokazaniem języka.

Jacusiowi zbiegła wszystka krew do głowy. Jednem ruchem śmiałej ręki pochwycił resztek dopalającego się papierosa, włożył je jeszcze prędeż w usta i zaciągnął się pełną piersią. Zdobycz powiodła mu się znakomicie, pożerał też ją gwałtownie, drwiąc z przeciwnika. Ale równocześnie gromka dłoń Karolka uderzyła z całej siły w twarz Jacusia. Jacuś się potoczył — i jak długi upadł w kałużę grząskiej drogi Błyskawicznie jednak zerwał się drżący z gniewu, ręką z twarzy błoto zgarnął — a wyrwawszy dyszlik ze swojego wózka, zaczął okładać Karolka.

Karolek choć większy, stracił chwilowo przytomność, nie wiedział czem się zasłonić przed potężnymi razami. Zwinął się więc w kłębek — podszedł zręcznie pod wózek Jacusia i dobrze sparłszy się na nogach, plecami obalił go na ziemię. Jacuś chcąc jeszcze lepiej poczęstować swojego wroga, porwał dyszel w obie ręce, odstąpił na krok, zmierzył z całej siły, i uderzył tak mocno, iż dyszel pękł na dwoje.

Tym razem dostało się wózkowi. Karol niezadowolony wywrotem wózka wysypywał mu piasek z woreczków w błoto. Po kilku sekundach zmarniała całodzienna praca Jacusia.

Laska matczyzna stanęła mu żywo przed oczyma i dwie duże łzy zaświeciły w oczach, gdy Karol, porwawszy ostatni woreczek — niebieski, cisnął go do rowu, przepelnionego ściekami z ulicy.

Było to jakby nowe wyzwanie Jacusia. Syknął zropaczony chłopiec chwycił w obie ręce garść piasku i sypnął nim w same oczy zuchwałego towarzysza.

Karolek zawrzeszczał z bólu i płacząc począł z swym wózkiem uciekać.

Jacuś posypał za nim niezliczoną ilość przewisk, które padały nawet na głowy prababek Karolka. Lecz rozplakał się na dobre gdy począł zbierać próżne, powalane worki, lecz w żaden sposób nie mógł wydobyć z rowu worka niebieskiego.

Po długich mozołach wyciągnął drogi woreczek i... zapłakał jeszcze rzewniej Woreczek nabrał brudno zielonego koloru. Po krótkiej i głośnej rozpaczycy Jacuś powalany błotem od stóp do głowy, przemoczony na wskrós, zmarznięty, bez czapki, bo tej już nie mógł znaleźć, pospieszył nie do domu — lecz do zamiejskich pagórków po bieluchny piasek.

Pagórki owe są dosyć rozległe, służą bowiem za pastwiska, a czasami i za miejsce ćwiczeń dla wojskowych.

Na jednym z owych pagórków stoi słup z czarną tablicą, opatrzoną napisem w dwa rzędy. Napis był następujący „Pod Karą“ w pierwszym wierszu — „brać nie“ — w drugim. Tablicy tej znadawała się tylko jedna połowa — drugą dawno dzieci odłupały kamieniami.

Mimo więc gołosłowny zakaz, piasek wydobywano nieprzerwanie.

Dzieci robiły jamy głębokie w stoczyskach pagórków i wpełzały do nich jak krety. Nie jeden z piaskarzy nie powrócił więcej z podobnej nory. Ofiary znajdowano zgniecione, bez życia,

I naszego Jacusia taki los spotkał

.....

Matka Jacusia wracała z pogrzebu w ciężkim smutku; sumienie ciężko jej wyrzucało, iż zamiast starać się o syna, zebrała po całych dniach, aby w nocy wszystko przepić — wstąpiła do kościoła i ślubowała na zawsze od wódki; popołudniu zgodziła się na pomywaczkę pod „czerwoną latarnię“.

Kto czytanie sprowadza do rozrywki, lub bezmyślnego popędu czytania, chybia celu, a wartość tej pracy schodzi do znaczenia zera.

Rozwagać, rozumieć, rojaśniać, to jest zadaniem mędrca; odkrywać prawdę, to jest jego sławą; miłować i wykonywać dobre, to jest jego szczęściem.

Wartość wiedzy zależy nie tyle na obszarne wiadomości, ile na umiejętności dobrego zużytkowania; skąd wypada, że nawet szczupły zapas rzetelnej i ścisłej nauki, stanowi pod względem praktycznym stokroć droższy skarb, niż najobszerniejsze wiadomości powierzchowne,

POZIOMKA.

Ponad pola Dąbrowy w ciepły wieczór sierpniowego
 Mkną anieli w gwiazdziste niebiosy,
 I roślinki spragnienie, skwarem dziennym zemdłone
 Pokrzepiają kropelkę rosy.
 Gdy na niebo przeczyste weszło słońce złociste,
 Zalśniły łany zbóż i drzew bisiory;
 A krople zwisające sięją blasków tysiące
 I mienią się w tęczowe kolory.
 Jak brylancik niewielka jedna rosy kropelka
 Padła w listek niewielkiej jagódki.
 „Ach klejnotku prawdziwy!” i aż rumieniec żywy
 Oblął lica poziomki małej.
 Tak ją roślina tuli: „Luli mój skarbie, luli“...
 I cieszy się tą jedną kropelką...
 Aż się łan i drzewa gorszy tem i zdumiewa
 Nad uciechą tak szczerą i wielką:
 „Cóż ty się tak radujesz? tej kropli przypatrujesz?..
 Patrz: co na nas pereł rosy lśniących!..
 My je z siebie strząsamy, takie ich mnóstwo mamy
 Od aniołów, co dnia je znoszących.
 Toć w tem nie ma dziwoty... nie żadne to klejnoty,
 Jeno rosa, najzwyklejsza w świecie.
 Ani o nią prosimy, ani się nią cieszymy
 Tak niezmiernie jak ty, marny kwiecie.“
 Tak pyszniło się zboże, tak drwiły świerki w borze
 Zapomniawszy, że rosa dar nieba,
 I że czyni najgorzej, kto prześmiewa dar Boży,
 Za który nam dzięki czynić trzeba.
 Słonko w górę się wzbiło, rosę z kłosów wypięło,
 Zar z świerkowych kolek ją wypali...
 Przyszli żeńcy i drwale i w południa upale
 Zjęli kłosy, pyszny las zrąbali.
 Tylko skromna jagódka, której kropla malutka
 Tyle, tyle sprawiła radości,
 Tylko poziomka mała z pogromu ocalała,
 Od niej dziatki uczenie się skromności.

O WOLE.

Janek i Piotruś spotkali się na łące, gdzie pasł się wół i koń.
 — Patrz Piotrusiu, — rzekł Janek — co się wołowi stać mogło, taki smutny głowę opuścił?
 — Taka już jego postawa, — odrzekł Piotruś — koń ma szyję dłuższą, więc nosi głowę śmiało.
 — O tak, koń piękniejszy niż wół, — dodał zaraz Janek. — Jakie ma ładne sterczące uszy, jak niemi strzyże, gdy usłyszysz hałas, jak wesoło rzy, gdy się cieszy.
 Uszy wołu nie są coprawda sterczące, ale słyszysz niemi doskonale, a obok uszu ma rogi, nie dla ozdoby, leccz dla obrony. Ryk wołu głośniejszy i dalej się rozchodzi od rżenia konia,

— Mnie jednak koń lepiej się podoba. Spójrz, jaką ma piękną grzywę, jaki długi ogon, jaką lśniącą sierść, jakie kopyta.

— Wół nie ma kopyt, ale racice służą mu również dobrze. Ogon jego nie tak piękny jak konia, lecz opędza się nim doskonale od much. A chociaż sierść jego nie taka gładka, lecz wołowa skóra lepsza na obuwie niż końska.

— Ale widzisz, Piotrusiu, — twierdził Janek — jeżeli kto chce jechać daleko, w świat, to zaprzęga rączego konia, nie jeździ na wole.

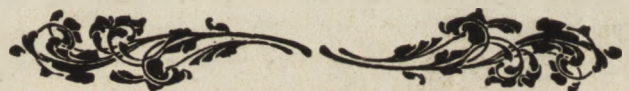
— Bo koń szybszy jest w biegu, mając dłuższe nogi, ale wół za to ciągnie wozy, nie męcząc się tak, jak koń.

Gdy tak chłopcy rozprawiali, zbliżył się do nich wieśniak i rzekł: „Mnie oba te zwierzęta poczciewie służą, oba są mi miłe, żadnego nie pozwolę skrzywdzić obmową“.

ZABAWA DLA DZIECI.

Rozbójnicy i żandarmi.

W lesie lub miejscu krzakami zarosłem, jako mającem najwięcej kryjówek, zabawa ta odbywa się najweselej. Trzecia część z bawiących się przyjmuje na siebie rolę żandarmów, inni zaś rozbójników. Ci za danym znakiem rozbiegają się i kryją w różnych zakątkach lasu; obowiązkiem teraz żandarmów jest ich wyśledzić, wyłapać i piwzić; dla lepszego poznania się wzajemnie, ci mniemani obrońcy bezpieczeństwa publicznego obwiązują sobie jedną rękę białą chustką i zaopatrują w małe piszczałeczki. Wyśledzony i ujęty opryszek przez żandarmów, odstawiony jest do więzienia — miejsca na to przeznaczonych. — przed którym postawiona jest straż zbrojna. Gdy już wszyscy z rozbójników są ujęci, złożony jest na nich sąd wojenny, wyrok na ścięcie głowy zwyk'le zapada, tylko najpó'niej z nich schwytany, jako dzielny i odważny, zostaje ułaskawionym. Teraz przystępuje się do wykonania wyroku na śmierć skazanych; wyprowadza się z więzienia kolejno na plac tracen'ia. zawięzuje się mu oczy i czapkę na głowę wkłada; ten na ziemi przykłęka, i na komendę siach! czapka strącona przez kata, ma być głową skazanego. Co gdy na wszystkich spełniono, zabawa się znów na nowo rozpoczyna. — Zwała się dawniej ta ulubiona dzieci zabawa, szczególnie na majówkach, Rinaldo Rinaldini, bandyta włoski i odbywała się w ten sposób, iż obie strony wybierały sobie dowódców; kto komu wyłapał połowę, albo naczelnika schwycił, ta strona wychodziła zwycięsko.



DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Marcelin, umywszy się starannie i przybrawszy na siebie przyslaną mu przez matkę szatę, ukląkł do modlitwy. Wtem drzwi więzienia się otwarły z hałasem, na progu stanął dozorca.

— Śpiesz do amfiteatru — rozkazał — program zmeiniony: ty masz rozpocząć widowisko.

Marcelin zwrócił się jak najspokojniej do mówiącego.

— Jeśli co zawinił względem ciebie i sprawi ci kiedy przykrość, wybacz, jak ja tobie wszystko wybaczam — rzekł wzruszony.

Szorstki, gburowaty człowiek otworzył szeroko usta z podziwienia, potem ruszył ramionami i mrugnął:

— Dziwni to ludzie, zaprawdę bardzo dziwni... No, śpiesz się — dodał po chwili, zwracając się do Marcelina — widzowie się niecierpliwią.

Marcelin podążył za nim.

Na korytarzu spotkał Stabora. Przyjaciele podali sobie dłonie i poszli w uścisku braterskim.

Stabor i Marcelin weszli razem do amfiteatru, trzymając się za ręce, pogodni i uśmiechnięci. Idąc mijali łowczych, którzy stali długim szeregiem na korytarzu prowadzącym do areny.

Wtem bat jednego z dozorców zaświstał nad ich głowami, i Marcelin uczuł bolesne jego razy. Gładkie czoło młodzieńca zmarszczyło się, usta drgnęły lecz na jedną tylko przelotną chwilę, wnet czoło wypogodził, spojrział na Stabora, którego oczy płonęły oburzeniem.

— Mniej boli, niż sądzisz — rzekł.

— Hej, puście ręce! zawołał tuż koło nich głos gniewny, i w tej samej chwili znowu bat świsnął w powietrzu.

Tymrazem uderzenie spadło na plecy Stabora. Przyjaciele rozpletli ręce.

— Do widzenia! — szepnął Marcelin.

— Do widzenia! odparł Stabor, cifając się od towarzysza, aby katów nie drażnić.

Marcelin dochodził właśnie do drzwi, prowadzących na arenę, gdy zwróciły jego uwagę dwie niewiasty w pobliżu stojące, zasłonięte welonami. Jedna wspaniale ubrana pochodziła niezawodnie z rodu patrycyuszów, druga żałobną szatę miała na sobie. Na tej ostatniej Marcelin wzrok zatrzymał, gdyż postawą przypominała mu matkę. Gdy zbliżył się niewiasta owa uchyliła zasłonę i rzekła, a raczej szepnęła:

— Synu!

Marcelin drgnął i zgiął kolano.

— Matko pobłogosław mi! — odparł.

Sylvia położyła dłoń na jego głowie.

— Niech Pan ma cię w swojej opiece! — wyszeptowała drżącym od wzruszenia głosem.

On schwycił jej rękę i czule ucałował.

Naraz cyrk zdrzął.

— Chrześcijan! chrześcijan! — wołało pospólstwo, a ryk lwów im zawtórował.

— Śpiesz się! — naglił dozorca, lekko popychając Marcelina.

Młodzieniec powstał i ku arenie podążył.

Łowcy poczęli ustawiać skazanych naprzeciw łoży cesarskiej, aby Dyoklecjan mógł palcem wskazywać tego, którego wybiera do walki. Przypadek zdarzył, że Marcelin i Stabor znaleźli się razem obok siebie w pierwszym rzędzie.

Ryk głodnych zwierząt stawał się coraz głośniejszy, pospólstwo niecierpliwiło się coraz bardziej; więc Dyoklecjan skinął na stojącego obok jego łoży przełożonego gladiatorów, a gdy ten zbliżył się, szepnął coś do niego.

Przełożony zwrócił się ku skupionym naprzeciw chrześcijanom.

— Młody Virinus i Stabor Iberyjczyk występują pierwsi! — rozkazał.

Przyjaciele spojrzeli smutnie na siebie, podali sobie dłonie i razem weszli na środek areny.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się na nich, górne piętra obiegił szmer zadowolenia, w łożach dały się słyszeć ciche głosy:

— Tacy młodzi, szkoda ich!

Marcelin i Stabor nie słysząc nic i niczych spojrzeń nie widząc, podnieśli wzrok ku górze, szukając nieba, lecz nie mogli oczu nasycić błękitnym przestworem, za to ujrzeli co innego, co im dodało otuchy w tak ważnej dla nich chwili.

Na górnym piętrze ujrzeli białą postać starca, o twarzy jaśniejącej wyrazem niewypowiedzianego słodkim, Był to biskup Dyonizy. Wyciągnąwszy ramiona, błogosławił ich. Oni pochylili głowy i modlić się zaczęli.

W łoży Dyoklecjana, za krzesłem Pliviusa, stał zdrajca, Alcybiades. Sercem złego młodziana miotała jeszcze zazdrość, gdyż gniewne i złe miał spojrzenie.

— Więc nie rozłączyłem ich — mówił sam do siebie.

Wtem ryk straszliwy wstrząsnął ścianami cyrku. Poruszyło się znowu gwałtownie pospólstwo.

— Lamparty! lamparty! — wołano zewsząd.

Stabor i Marcelin podnieśli czoła i wzrokiem obiegli arenę. Ujrzeli naprzeciw siebie dwa centkowane olbrzymy o ślepiach błyszczących.

Bijąc ogonami o piasek areny, lamparty chci-

wie przypatrywały się swoim ofiarom; zdawały się namyślać, z której strony rzucić się na nie.

Stabor i Marcelin objęli się ramionami i braterski pocałunek zamienili z sobą.

— Żegnaj, prawdziwy i jedyny mój przyjacielu! — rzekł Marcelin.

Widze przyklasnęli temu pożegnaniu.

— Przeklęty Stabor! — mruknął Alcybiades.

— Milcz! — zgromił go Pilivius, który traktował Greka, jak niewolnika.

Oklaski rozniewały dzikie bestye: złowrogi ryk rozległ się powtórnie, oba lamparty skoczyły ku ofiarom i jednocześnie powaliły je na ziemię. Krew Marcelina zmieszała się z krwią Stabora,

Lud szalał z radości i bił coraz głośniejsze oklaski, lecz imperator skinął i łowcy wbiegłszy na arenę zagnali dzikie zwierzęta do klatki, a poszarpane ciała męczenników, podniósłszy z ziemi, wynieśli z areny, aby oddać je służbie. Niebawem atoli zastąpiły im drogę Sylwia, Kornelia, Julia i Marya.

— Oddajcie matce syna i jego serdecznego przyjaciela — rzekła Kornelia, wsuwając hojny dątek w rękę jednego z łowców. ó

Prawo rzymskie nie wzbraniało wydawania ciał zmarłych chrześcijan ich krewnym, toteż łowcy, szczerze obdarzeni przez patrycyuszkę, z ochotą wydali dwa ciała męczenników.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAGADKI.

SZARADA.

Pierwsze z czwartem uroczem jest kwiatem jesieni,

Drugie, to nuta śpiewna, a wykrzyknik *trzecie*.

Czwarte na każdym statku wysoko się ceni,

A *wszystko* chociaż martwe, nie jest nieme przecie,

Bo kiedy w nie dłoń mistrza ducha prawdy wejże,

I potęgą geniuszu do życia pobudzi.

W długie wieki przechowa dawnych czasów dzieje,

Albo wyrazem wdzięku przemówi do ludzi.

FIG EL.

Sylaba tkwi w literze,

Zgadnij: ptak to, czy zwierze!

ŁAMIGŁÓWKA.

[Ułożona i nadesłana przez Różyczkę].

a, b, e, i, k, ł, l, m, o, o, o, ó, p, r, s, s, u, z.

Pięć wyrazów: owady; potrawa; pora roku; nazwa pewnego przeciagu czasu w liczbie mnogiej; kora z drzewa.

Początki i końcówki od i do góry czytane,

Dadzą ci rozwiązanie łatwe—pożądane.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 30.

Kwadrat magiczny:

B a r d

A m o r

R o m a

D r a b

Zagadka: miłość; Łamigłówka: Cent—Orinok—GalaR—Łózk—ObraZ—WoU—Alarm: Co głowa, to rozum.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i ratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wice-prezesa; Maksymilian Brochocki, II Wice-prezes; Wincenty J. Józwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem: W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-ej do 9-ej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacji otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-ej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcji, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacji.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu. Inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Od działu i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam Szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że miesiąc *Sierpień*, b. r. jest wolny od nadzwyczajnych podatków na pośmiertne, a zatem opłaty do kasy głównej w miesiącu sierpniu, 1907 r., wynoszące będą 20 centów.

Win. J. Józwiakowski,
20-VII-07. Sekr. Główn. M. P.

OD SEKRETARZA GŁÓW- NEGO.

Do Szanownych Urzędników i Członków Macierzy Polskiej:

Okoliczności nie odemnie zależące znievolmente do przeniesienia moich godzin biurowych z poniedziałku na wtorek, a zatem:

Od dnia 1-go Sierpnia br. zachowuję i regularnie zachowywać będę moje godziny biurowe p. nr. 141-143 W. Division ul., w każdy wtorek i w każdy piątek wieczorem.

W inne dni i wieczory jestem na usługi Macierzy Polskiej za specjalnym z góry umówieniem się z interesantami.

Brat w Macierzy Polskiej
Wincenty Józwiakowski
Sekretarz Główny.

N. B. Skarbnik Sztanka zachowuje nadal poniedziałki i piątki.

O STYLU.

Wszelkie jednak dowody, jakie zebrać możemy, są dopiero nieporządnym materiałem, którego ilość trzeba oznaczyć, rozgatkować go i stosownie do planu rozłożyć. Jak budować, tak i pisać nie można, bez pewnego planu i rozporządzenia. Jak dowody z siebie wypływać powinny, gdzie należy surową prawdę okazać, gdzie ją ozdobić, nad tem zastanowić się należy.

Wszystko to zależy od rzeczy, celu pisma i osoby, do której mówimy. Nakoniec, kiedy rzecz już mam stosownie do celu uporządkowaną, pozostaje mi tylko uzupełnić ją w spojeniu części i przyozdobić, to jest wypracować ją należycie. Smak tylko i krytyka wskażą nam, jakie wyrażenia powinny być stosowne do celu, pewne i jasne, jak okrzesać, to co jest zbyt cenne, przenieść to, co na innym miejscu korzystniej stać może, jak wreszcie różnorodność w porządną całość uszykować należy.

Kto każdą myśl, która się zjawia w tym porządku i w tym świetle, w jakim przychodzi na papierze pomieszcza, ten się wyrzeka porządku i piękności stylu.

Przepis takowy zdaje się za trudnym, sądziłby nawet można, iż tu zbyt staranność może pismo oziębnić i nienaturalnem uczynić. Ale przez sztukę tylko osiągnąć w dziełach piękną naturalność, Zadajmy sobie raz i drugi podobną pracę, a ręczyć można, że ten porządek stanie się później w nas łatwą naturą lub nałogiem. Miejmy wprawę i bogactwo języka na nasze rozkazy, a będziemy według sztuki pisać naturalnie i pięknie. Nakoniec kiedy tych wszystkich dotąd wymownych zasobów pewni jesteśmy, kiedy już mamy istotę i sposób prowadzenia rzeczy, nie podobna, ażebyśmy jej ważnością i użytkiem przyjęci nie oddali jej

z czuciem albo z przynależną ozdobą i jasnością.

Zapał, czucie, chęć dobra powszechnego idzie rozumowi na pomoc, dodaje mu skrzydeł w jego poszukiwaniach. Rozum tylko powinien wiedzieć, kiedy do wsparcia celów swoich pomocy, czucia i wzruszenia potrzebuje. Jasność jest najpierwszym i najgłówniejszym przymiotem stylu, przede wszystkim warunkiem dobrego pisania jest, żeby się nie brać do żadnego przedmiotu dopóki go dobrze nie zrozumie; kto jest o czem silnie przekonany, ten przekonanie swoje wleje w czytelników lub w słuchaczy. Kto chce prawdę wypowiedzieć, ten powinien porzucić ozdobę, zebrać dowody i rzecz jasno wyłożyć. Im żywiej pisarz przejmie się rzeczą swoją, tem silniej działać będzie na rozum, na wyobraźnię i czucie. Można dzieło napisać wolne od wszystkich błędów stylu, a które przecie dla małej tylko liczby czytelników będzie jasnym i zrozumiałym. „Pismo“ mówi Kwintilian, „powinno być zrozumiałem nawet dla mniej uważnych słuchaczy, aby każda myśl uderzała jak słońce, chociaż ku niemu nie mamy oczu zwróconych“. Dlatego starać się należy, nie tylko, żeby nas rozumiano, ale, żeby niepodobna było nierozumieć.

Nie można pisać jasno o rzeczy, albo przez nas niepojętej, albo ciemnej z siebie. Tem mniej może być jasnym ten, kto przedmiot jakowy inaczej chce wystawić, aniżeli wewnątrz jest przekonany. Jak rysy twarzy zdradza ją obłudnik, choćby w najukładniejszych mówił wyrazach, tak styl sam zdradza pisarza, który wewnątrz inaczej czuje i widzi. Stąd to ciemność, niepewność wyrażenia, wikłanie i naciąganie dowodów, złoza znanego stylu sofistów i wszystkich, którzy przez interes, ale pochlebstwo złej sprawy bronią.

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przesyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

zalożone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorski wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

Szkodzą jasności stylu zbyt długie peryody, których często za jednym tchnieniem wymówić nie można, które równie ucho, jak umysł mordują i nim czytelnik przyjdzie do końca, już o początku zapomni. W natłoku myśli i szybkim ich odlewaniu na papier często się takie peryody wysuwają i do poprawnego pisarza należy, ażeby je, albo podzielił, albo usunął myśli poboczne, których mnogość zamiast dokładności, często głównie myśli zaciemnia.

Strzegąc się długich peryodów, trzeba unikać przeciwnej ostateczności. I tak: styl tak zwany ucinkowy, z krótkich frazesów złożony, lubo każdą myśl jasno i łatwo wyraża, atoli objęcie ogółu myśli utrudza. Jak w długich peryodach są myśli powikłane, tak w krótkich są rozproszone.

Wielką jest sztuką w pisaniu zachować pewną miarę między myślami głównymi a pobocznymi.

Każdy pisarz, który myśli pobrane tylko i pomocnicze starannie rozwija i nimi głównie przepłata, czyni to zawsze kosztem jasności stylu.

Szkodzi jasności tak zwany styl poetyczny i zbyt częste przenośnie, chęć popisywania się z dowcipem i głębokimi myślami, gdyż, jak mówi La Bruyere, dwa wtedy błędy piszącego się spostrzega: pierwszy, że nie ma dowcipu, drugi, iż myśli, że go ma. Zaciemnia styl chęć popisywania się erudycją i mnóstwem cytacyi. Tacy pisarze naśladowują wyroczenie, ale tylko w ich ciemnych wyrazach. Jasność stylu zależy nie raz bardziej na porządku układzie myśli, niżeli na doborze wyrazów.

Aby styl jasnym i dla każdego przystępnym uczynić, trzeba zachować przymiot właściwości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pobłażanie i skromność są podstawą sztuki życia z ludźmi.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elektryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swoją wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrząstwy, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembeta. Ceny niższe dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowni zy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

dla
Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie brylka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-ga:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepsze szczerzoty - złote ślubne obrączki idźcie do jedynego polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

x

677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.
JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłacie się do nas my wam najlepiej uatuzymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członek
Fire Underwriters Association.
Assekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Gremowanie i Dekorowanie
Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim
wehodzace.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy ksiązek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: ksiązki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, ksiązki szkolne i t. d. po cenach w miarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pókój 207, Scie pietro. Tel. Central 608.
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1854

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.



SUMMER CLEAN-UP

NOW let everybody get a bargain;
will save you from \$3.00 to \$8.00
on Men's spring and summer Suits

Sale Prices \$4⁸⁸ \$6⁸⁸ \$9⁸⁸ \$12⁸⁸

THE ARMITAGE
Milwaukee and Armitage Ave's